

*Zofia Wróbel, kat. 10 - 12 lat, Maskując nieśmiałość*

Ta Nieśmiała. Tak na mnie mówią w szkole. Na kółku teatralnym, na które uczęszczam od września także. Nie wiem, czy nie pamiętają mojego imienia, czy po prostu go nie używają? Za każdym razem, kiedy próbuję zwrócić im uwagę głos grzęźnie mi w gardle, a na piegowate policzki wypływa czerwony jak maki rumieniec. I milczę, mimo, że wewnątrz krzyczę. Fakt, jestem zwyczajna. Mam brązowe, jak to mówi mój tata, wiecznie przestraszone oczy, mały zadarty nos i nijakie włosy, związane w dwa mysie ogonki. Moje blade policzki i szyję pokrywa pąs, którego nie znoszę. Mam też w sobie dobre trzydzieści kilo zawstydzienia i strachu, ale mam też imię, niezapamiętane przez nikogo, zwyczajne jak ja cała.

Szkolne kółko teatralne zawsze było moim marzeniem. Dwa lata, z bijącym sercem i czerwonymi polikami, nieśmiało przyglądałam się próbom, tworzeniu scenariuszy i dekoracji oraz występom. Wreszcie, we wrześniu ubiegłego roku, odważyłam się na nie zapisać, a właściwie zaniósłam wypełniony przez mamę równym drukiem kwestionariusz i od tego dnia, całkiem legalnie, mogłam przychodzić na popołudniowe spotkania. Dostałam zaszczytną rolę specjalistki od rekwizytów. Wiedziałam, że pani Danusia prowadząca naszą grupę teatralną usilnie próbowała znaleźć mi jakieś zajęcie, gdzie nie musiałam za wiele mówić i byłam jej za to wdzięczna. Moim zadaniem jest wyszukiwanie ciekawych przedmiotów, które pojawiają się na spektaklach. W tym celu, regularnie, co niedzielę jeżdżę z mamą na pobliski targ staroci.

Tak było i dziś. W mroźny, lutowy poranek, targ świecił jeszcze pustkami. Tylko pierwsi odważni, wystawiali swoje małe kramy. Układali na niewielkich, przenośnych stoliczkach różne bibeloty. Były tam antyczne ramki, z zakurzonymi obrazkami, stare porcelanowe lalki o błękitnych, nieobecnych oczach i zatęchłych sukienkach, zakurzona, sygnowana porcelana. Były setki mosiężnych kubków, kieliszków, stare żeliwne żelazka, rzeźbione, dębowe krzesła pamiętające czasy przedwojenne oraz stare monety i znaczki. W pożółkłych, przesiąkniętych wilgocią kartonach można było znaleźć stare czasopisma, książki, płyty i lisie skórki. Uwielbiam magię tego miejsca i tajemnicę, jaką skrywają stare przedmioty. Duszę dawnych lat czuć w każdym drobiazgu, który obracam w zmarzniętych dłoniach.

- Czego dziś szukasz młoda damo? - odezwał się starszy mężczyzna, który starannie układał rzeczy do sprzedaży na czerwonym, starym obrusie.

Niechętnie uniosłam wzrok, ponieważ nie lubię rozmawiać z nieznajomymi. W człowieku rozpoznałam znajomego kramarza, u którego często robię zakupy, więc trochę się rozpogodziłam, ale wciąż milczałam.

- Szukamy rekwizytów na najbliższy szkolny spektakl - sytuację próbowała uratować mama, odkładając sznur kolorowych koralików, które trzymała w ręce.

- To wspaniale - staruszek uśmiechnął się zadowolony, naciągając wełnianą, kolorową czapkę, na pasma tłustych, siwych włosów. - A o czym będzie to przedstawienie? - zapytał z zaciekawieniem.

- O karnawale...-wydukałam nieśmiało, a moja twarz przybrała kolor obrusu, którym wyłożony był stragan.

- Bardzo ciekawy temat - zadumał się sprzedawca. - Kiedyś karnawał miał ogromne znaczenie, pozwalał zrozumieć odwrócenie świata, niósł ogromne przemiany. Nieodzownym elementem karnawału od najdawniejszych lat były maski. Pozwalały one, choć przez chwilę, stać się kimś innym i przekroczyć pewne nieprzekraczalne granice...- snuł dalej starszy pan, szukając czegoś w dużym, brązowym pudle. - O tu jest! - wykrzyknął zadowolony wyciągając w moją stronę starą, złotą maskę.

- Dziękuję, jest piękna - szepnęłam pod nosem, jak zaczarowana wpatrując się w przedmiot.

- Ile płacimy? - moja mama zachowała trzeźwość umysłu, wyciągając z kieszeni skórzany portfel.

- Niech to będzie dla ciebie prezent, młoda damo - zwrócił się do mnie sprzedawca. - Teatr to wspaniała rzecz - dodał, puszczając do mnie oko. - Można się stać wtedy kimkolwiek się zechce.

- Dziękuję - wychrypiałam, pośpiesznie chowając maskę do płóciennej torby.

Resztę zakupów pamiętam jak przez mgłę. Wybrałam jeszcze kilka bibelotów: starą balową suknię, kryształową lampę, sznur sztucznych pereł i małego manekina. Moje myśli były wciąż przy masce, która była tak niezwykła, a jednocześnie idealna do naszego karnawałowego spektaklu. Jadąc autobusem kilkakrotnie sięgałam ręką do przerzuconej przez ramię, zielonej torby i sprawdzałam czy aby na pewno maska nadal tam jest. Wydawała mi się

ulotna, jakby przybyła z innego bajkowego świata. Wciąż nie wierzyłam, że udało mi się ją zdobyć i nie mogłam doczekać się, aż pokażę ją naszej pani i kolegom.

Nazajutrz nie mogłam doczekać się popołudniowego spotkania kółka teatralnego. Do naszej szkolnej sali teatralnej dotarłam sporo przed czasem. Była pusta, panował tam mrok, a w powietrzu unosił się zapach kurzu i sztuki. Ciszę przerywało tykanie starego, drewnianego zegara, który stał za kulisami. Drzwiczki zegara dawno uległy zacięciu, więc o pełnych godzinach skrzypiały tylko, więząc zegarową kukułkę. Ciężkie, bordowe kotary naszej szkolnej sceny były rozsunięte. Wdrapałam się na nią. Deski sceny jęknęły pod naciskiem stóp. Stałam na środku sceny, w miejscu, o którym zawsze marzyłam i wydobyłam z torby maskę. Była wykonana z twardej, perłowo-złotej masy, od spodu wyłożona cieniutką warstwą miękkiej skóry. Pokrywały ją złote, bogate zdobienia układające się w secesyjne wzory. Na policzkach maski znajdowały się, wykonane z cienkiego pergaminu, pokryte nutami decoupage. Nie myśląc wiele, przyłożyłam maskę do twarzy. Czułam gryzący zapach kurzu, kiedy zawiązywałam z tyłu głowy, dwie czarne, mocujące maskę wstążki. Do moich uszu dobiegło głośnie kukanie kukułki.

- Jak to jest możliwe skoro zegar od lat jest zepsuty? - wyszeptałam, czując, że się zapadam w próżnię.

Z letargu obudziła mnie głośnie, skoczna muzyka. Rozejrzałam się dookoła. Byłam w nieznanym mi miejscu, jak z innej epoki. Okoliczne budynki wyglądały jak namalowane. Wąska, brukowana uliczka prowadziła do placu, na którym gromadził się tłum. Na środku placu, na udekorowanym sztucznymi kwiatami i świecami wozie, siedziała przybrana w białe szaty bogini. Miała na głowie koronę w kształcie tronu, a na plecach szafirowe skrzydła. Przypominała mitologiczną Izydę, o której uczyliśmy się na lekcjach polskiego. Tuż u jej boku siedział dumnie Dionizos, popijając wino ze złotego kielicha. Wokół wozu tłoczyły się przeróżne postacie. Były tam eteryczne elfy, ze szpiczastymi uszami, w zwiewnych tiulowych sukienkach, nimfy wodne i topielice w ociekających wodą szatach, damy dworu, w pięknych pozłacanych kreacjach z maskami weneckimi na patykach. Były też przerażające diabły i skrzydlate demony, które sprawiały wrażenie zadowolonych i przyjaznych. Wszystkie stwory zgodnie wiwatowały, śpiewały i wirowały w tańcu. Kudłate wilkołaki, o posklejanym futrze,

gromadziły się wokół trzech ogromnych ognisk, w których płomieniach skwierczały pieczone prosięta. Patrzyłam na ten przedziwny obraz biesiady jak zaczarowana.

- Mówiłem, że karnawał to niezwykły czas - usłyszałam znajomy głos.

Tuż obok mnie stał kramarz z targu staroci. Na głowie miał tą samą wełnianą, kolorową czapkę, a jego oczy błyszczały radośnie. Na jego ramieniu siedziała mała, grafitowa, puchata kukulka, z pasiastym brzuszkiem. Właśnie tak wyobrażałam sobie uwięzionego w szkolnym zegarze ptaszka.

- Tego dnia każdy może przekroczyć swoje granice. Nic nie musi być takie jak jest, kiedy spotykają się dwa światy - dodał tajemniczo ciągnąc mnie za ramię.

Bez wahania udałam się za staruszką. Byłam spokojna i ciekawa, a absurdalność tego, co się dzieje dookoła dodała mi odwagi.

- Gdzie my jesteśmy? - zapytałam, a mój głos brzmiał wyraźnie i dźwięcznie. Przez chwilę zastanawiałam się czy faktycznie wydobywa się z moich ust. Chciałam sięgnąć policzka, aby sprawdzić, czy oblewa go ciepły rumieniec, ale moja dłoń dotknęła twardej, perłowej masy maski, która wciąż tkwiła na mojej twarzy.

- W samym sercu karnawału, moje dziecko. Tu, gdzie wszystko jest teatrem-zanucił wesoło.

Długo przedzieraliśmy się przez tłum wirujących stworzeń. Boginie klepały mnie przyjacielsko po ramionach, a chichoczące chochliki podkładały nogi. Arlekiny chwyciły mnie za ręce, żeby wirować w tańcu. Atmosfera radości i zabawy unosiła się w powietrzu, tak jak zapach pieczonych prosiąt i ziemniaków. Uległam jej i gdy dotarliśmy do wysokiego, majestatycznego gmachu, podśpiewywałam sobie pod nosem rozbrzmiewające ze wszystkich stron melodie.

- To nasz teatr życia - wyjaśnił sprzedawca, pchając ciężkie, pięknie rzeźbione, drewniane drzwi ze złotymi klamkami.

Ściany teatru pokryte były czerwienią i złotem. Była tam też najpiękniejsza scena, jaką można sobie wyobrazić. Ciężka, bordowa, pluszowa kurtyna opadała na lśniące, wypastowane deski teatru. Miejsca na widowni szybko zapełniały się. Przedziwne stworzenia zajmowały, welurowe, czerwone siedziska. Usiadłam w pierwszym rzędzie, tuż obok starszego pana. Już po chwili kurtyna uniosła się, zapalono światła i zaczęło się przedstawienie. Sceneria była tak

realistyczna, że miałam wrażenie, że znajduję się w magicznym lesie. Czuć było zapach żywicy, a deski sceny, zniknęły w gęstej mgle. Piękne boginie leśne tańczyły, unosząc się niemal nad ziemią. Królowała im Izyda, rozpościerając szafirowe skrzydła. W tle słychać było najpiękniejszy śpiew syren, który nie był przeznaczony dla uszu śmiertelników. Nagle na scenę wpadł ogromny kryształowy smok. Z ust boginek, wydobył się przeraźliwy, pełen leku krzyk, syreny zamilkły, a widzowie wstrzymali oddech. Nawet kukułka, towarzysząca kramarza, spłoszona zerwała się do lotu. Poczułam ogromny gniew, że ktoś śmiał przerwać to wspaniałe widowisko. Nie zważając na nic, jednym skokiem znalazłam się na scenie, stając na wprost kryształowego potwora. Smoczysko miało lśniące szklane ciało, mieniące się rubinowe oczy i ostre, srebrne szpony.

-Przestań niszczyć to wspaniałe wydarzenie!- krzyknęłam, co sił w płucach, rozkładając szeroko ramiona. Kiedyś przeczytałam w jakimś poradniku, że tak można odstraszyć niedźwiedzia, ale nie miałam pojęcia czy zadziała to na smoki.

Smok ryknął i pękł niczym szklana szyba rozsypując się na tysiące kawałeczków szkła.

Z widowni rozległy się gromkie brawa. Wróżki, nimfy i skrzaty wiwatowały na stojąco.

- Witamy naszą główną aktorkę na scenie - zbliżyła się do mnie Izyda. - Ocaliłaś nasze przedstawienie - dodała z uśmiechem. - Jak masz na imię kochana?

- Helena - odpowiedziałam głośno i wyraźnie. Nie czułam piekących policzków, a głos nie utknął mi w gardle jak kostka z kurczaka.

- Helena! Helena! - skandowała widownia.

- Brawo Helena! - w pierwszym rzędzie, suchymi, pokrytymi zmarszczkami dłońmi bił brawo staruszek, a na jego ramieniu, znów niczym posąg, siedziała szara kukułka.

- Ku ku ku ku ku ku - dobiegło mnie z oddali.

- Nieśmiała, a ty tu śpisz? - ktoś potrząsnął mnie za ramię.

Spojrzałam nieprzytomnym wzrokiem. Nade mną pochylała się zaciekawiona grupka dzieciaków i zaniepokojona pani Danuta.

Znów byłam na scenie naszego szkolnego teatru, a w dłoni ściszałam złotą, antyczną maskę.

- Mam na imię Helena - zaczęłam nieśmiało. - I mam pomysł na naszą karnawałową sztukę - dodałam już znacznie śmielej.

Karnawał to czas przemian. Nawet, jeśli są one niewielkie to zawsze jest to krok w przód, ku naszym marzeniom czy ideom. Być może stanę kiedyś na deskach naszego szkolnego teatru, a może nawet na prawdziwej, dużej scenie? Czasem trzeba założyć maskę, żeby poszukać swojej prawdziwej twarzy.